

Jacek **Brzozowski**

W oczach jej błękitu



Jacek Brzozowski

W oczach
jej błękitu

© Copyright by
Jacek Brzozowski & e-bookowo
Grafika na okładce: shutterstock
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-418-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2015

Autor składa serdeczne podziękowania Marcie Sosińskiej
za pierwsze recenzje
i motywację.

Nie zrozumiecie sztuki, póki nie pojmiecie,
że w sztuce jeden plus jeden może dać każdą liczbę,
z wyjątkiem dwa.

Pablo Picasso

Chcę abyś wybrała taki moment z przeszłości, kiedy byłaś bardzo, bardzo, bardzo małą dziewczynką. A mój głos podąży za tobą. I stanie się głosem twoich rodziców, twoich sąsiadów, twoich przyjaciół, twoich koleżanek i kolegów ze szkoły, twoich towarzyszy zabaw i twoich nauczycieli. Chcę też abyś znalazła się w szkolnej klasie jako mała dziewczynka odczuwająca szczęście z powodu czegoś, co wydarzyło się dawno temu, o czym zapomniałaś dawno temu.

Milton H. Erickson

Widzę.

Twoje cudowne dłonie, namalowane jakby dotknięciem magii. Krój smutnych ust, nabrzmiałe piersi. Wiecznotrwałą delikatność policzków, trwożę złożonych rąk. I twoje lśniące oczy, na które czekałem przez bezkres pustych lat.

Ktoś cię zmusił.

Nie tylko do pozowania. Moja biedna, tajemnicza istoto, którą próbuje odczytać połowa świata. Wiedziałaś że tak będzie. Już wtedy, gdy kazał ci tam stać. Obmyślałaś swoją zemstę, lub śmierć. To ona rozpoczęła rytualny taniec, kiedy tylko pędzel poczynił pierwsze kroki w takt bicia twojego spłoszonego serca.

Przeczuwałaś, że nigdy nie poznają prawdy. Przez lata, stulecia. Będą też mawiali, że byłaś zwykłą ladacznicą. Albo ogłupiałą mieszczką. Może bitą, może udręczoną. Cóż z tego? Będą mówić wszystko, lecz prawdy nie pozna nikt. Tylko ty i ten, po którym nosisz czarny welon.

Przeklniesz malarza, który cię taką, z boską doskonałością uczyni. Przeklniesz jego zleceniodawcę, człowieka bogatego i zepsutego. On jest pyłem, lecz ty zostałaś wieczna. Wieczna!

Niczym melancholia, zaklęta we wzgardliwym półuśmiechu.

Zadręczasz mnie swoją nieobecnością, Liso Gherardini.

1

Opuchnięte kolana półnagiego Pierre'a broczyły, gdy klęczał przykuty rdzawym łańcuchem do kamiennej, wyszczerbionej posadzki. Za szyję, jak najpodlejsze zwierzę.

Uryna trafiała go w policzek i ściekała rwącym strumieniem po klatce piersiowej. Rozbawiony Beduin w śmierdzących kolorowych łachmanach szczał na niego w geście wyższości. Pierre Dussollier, młody specjalista wywiadu elektronicznego, nie był jeszcze całkowicie złamany. Przeciwnie. Niemal chłopięca twarz technika, nigdy nie zepsuta sztuką maskowania uczuć, wyrażała nienawiść w najczystszej postaci.

Przy nadziei trzymała go wiara. Wierzył w Boga oraz w technikę, bo ta, jako jedyna spośród rzeczy ludzkich, nie zawodziła bez wyraźnego powodu. Tak jak teraz, gdy satelita bezbłędnie odnalazł sygnał z mikroskopijnego implantu zatopionego w stopie. Wiara.

Zmierzyłem to krótko wzrokiem i rzekłem głosem obojętnym, wręcz znudzonym, w kierunku szejka półleżącego na poduchach obciążonych czerwonym jedwabiem:

– Dam za niego dwanaście sztuk złota. Nie więcej.

Pogładziłem swędzącą brodę. Z braku doświadczenia nie byłem dobrze przygotowany do rajdu przez pustynię.

Dwa dni jazdy zamieniło gładką zwykle twarz we włochatą szcnotkę, przypominającą to, co mam na głowie, a zbyt grube ubrania w przepoconą szmatę. Choć rok temu, w trzydzieste czwarte urodziny zastanawiałem się, czy początków zakol nie powinienem skompensować brodą.

– Chyba nieskończone piaski Sahary i duże pragnienie odebrały ci siły na umyśle, gościu z dalekiego kraju. – Grubas splunął wymownie. – Za psa? To rzadki okaz na tym pustkowiu.

Arab sprawiał wrażenie, jakby nie zajmował w życiu innej pozycji niż co najwyżej siedzącej. Rozpostarty z zadowoleniem, od godziny nurzał tłuste palce w kryształowej misie z jedzeniem. Nic nie wskazywało, aby ta czynność go nudziła. Wyglądało na to, że chciał być zabawiany jeszcze przez co najmniej drugie tyle. Dla nas obu czas z pewnością płynął w inny sposób. Traciłem cierpliwość.

– Daruj, panie, nietakt – skłoniłem czoło. – Nie przedstawiłem od razu innych podarków. Mam jeszcze ze sobą...

– Nie przyjmuję prezentów od niewiernych – wycodził sucho, po czym znów splunął żółto na podłogę.

– Ależ...

– Są nieczyste, są brudne – uciął z pogardą w głosie.

Kraciasta maszrabija wpuszczała wąziutkie promienie słońca, które pełznąć milimetr po milimetrze, rozświetlały niemrawo kolejne zakamarki komnaty. Jeden z refleksów załśnił złotem na masywnych bransoletach opinających nadgarstki tłuszczocha. Coś do mnie dotarło, jakby przeskoczyła iskra.

– To na nic – powiedziałem cicho przez zęby.

– Co mówisz?

– Właśnie pojąłem, o najzacniejszy z mężów, że ta dysputa nie zaprowadzi nas do konstruktywnych wniosków. Chciałbym oto przekazać... – w tym momencie zwróciłem się do oprawcy klęczącego Pierre’a – ...pozdrowienia od PR.

– Od kogo? – wydusił zaskoczony Beduin, odsłaniając szczerbatą szczękę.

– Prezydenta Republiki.

Błyskawicznym ruchem wydobyłem półelastyczne polimerowe noże. Ukryte w wąziutkiej kieszeni paska były zupełnie nie do wykrycia. Powietrze przeszył cichy świst. Po chwili dręczyciel klęczał, tamując oburącz krwotok z rozzerwanej tętnicy udowej. Kątem oka dostrzegłem wytrzeszczone oczy pustynnego księcia.

Nie minęło kilkanaście sekund, gdy usłyszałem jęki dobijanego wielbiciela mało wyrafinowanych tortur. Pierre z szaleństwem w oczach jeszcze przez dłuższą chwilę maltretował bezwładne ciało.

Szejk nadal spoczywał bez najmniejszego ruchu, uważnie obserwując ostrze drugiego noża. I mój wskazujący palec, oparty znacząco na zaciśniętych ustach. Podtrzymując kulającego z bólu i wyczerpania technika wycofywałem się w stronę bocznego wyjścia.

Po trzydziestu sekundach, gdy wchodziliśmy już do terenówki, eksplodowały niespodzianki umieszczone na drugim końcu pałacyku. Natychmiast wybuchło tam zamieszanie i kobiece lamenty.

Silnik zawył i ruszyliśmy w pustynię. Pora była właściwa. Tak jak zaplanowałem, słońce zajmowało tę część nieboskłonu, która oznaczała szybki zachód. Noc ułatwiała ucieczkę, a noktowizor dawał nam dodatkową przewagę.

Spojrzałem na rannego. Głowa opadała mu z wyczerpa-

nia, drżąc w rytm nierówności terenu. Nie wiedziałem, co powiedzieć, zażartowałem więc:

– Urlop w Maroko?

Odpowiedziało mi pełne bólu westchnięcie Perrea. Tego przedziwnego młokosa lubiącego hippisowskie ciuchy znałem już z kilku akcji. Nigdy nie pytałem, w jakim dokładnie jest wieku, ale widać było, że mógłby być synem Lennona, jeśli nie wnukiem. Był przeraźliwie chudy i wiecznie przygarbiony. Zagadnięty, półżartem odpowiadał z niewyraźnym uśmiechem, że to przez ciężar odpowiedzialności za losy kraju.

– Nawet nie pytam, jak wpadłeś w takie kłopoty – rzuciłem.

– Ukradłem mu tonia – poruszył spękanymi wargami.

Pierre nie był człowiekiem wylewnym. Najpewniej to jego kappacyzm, wada złośliwie podmieniająca głoski, zdecydowała o wyborze autystycznej profesji wymagającej większego kontaktu z martwymi przedmiotami, zimną klawiaturą i chłodem fosforyzujących LED-ów, niż z ludźmi. Jak sam mówił, uwielbiał rozmowy, ale wyłącznie wtedy, gdy odpowiedzią i pytaniem była cisza. Odbywał ich więc sporo, szczególnie w kościołach.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłem... – wymamrotał.

Miał na wpółprzymknięte, opuchnięte oczy. Walczył z sennością, która wyciągała po niego coraz bardziej zaborcze ręce. Facet z drugiej linii akcji, dzisiaj zadebiutował w roli zabójcy. Całe jestestwo Pierre'a emanowało ciężarem tej świadomości. Od dzisiaj, jak większość osób z Agencji, miał kogoś na sumieniu.

– Właściwie, to ja go bardziej zabiłem, niż ty – przerzuciłem winę na siebie.

Zagryzłem język. To było chyba zbyt infantylne. Na twarzy technika przez moment rozbłysła nadzieja, jednak szybko zdusił ją rozsądek.

– Potrzebny był ci transport i wpadłeś na włamię? – próbowałem skierować rozmowę na inne tory.

W rzeczywistości moją misją było jedynie to, by wyciągnąć stamtąd młodego. Szczegóły zadania Pierre'a i tak musiały pozostać tajemnicą, a pytanie było tylko czystą kurtuzją mającą przykryć ciszę. Choć o tym, że miał kiepskie wyniki na strzelnicy, wiedzieli prawie wszyscy.

Pierre burknął coś i kaszlnął.

– Pierre? – powiedziałem głośniej.

– To nic... Ta misja...

Wyszczrzyłem zęby:

– Masz szczęście, że akurat tędy przechodziłem. – Przed oczami przemknął mi obszerny pałacowy harem. – I że nie ucięli ci jaj! – dodałem z naciskiem.

– Mieli to zrobić dziś wieczorem, Jean – wyjaśnił Pierre z męką w głosie.

Milczeliśmy chwilę. Samochód płynął miarowo, kołysany falami nieskończonego morza wydm.

– Śpij.

Nacisnąłem przycisk i fotel młodego zmienił pozycję na leżącą.

Po chwili dobiegło mnie głośne chrapanie.